Ner 7. **Kraków 1 kwietnia 1869.** **Rok III.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. - Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa: w księgarni **J. Czecha** hotel dreździeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny — w Krakowie.

☛ Numer dzisiejszy jest pierwszym bieżącego kwartału. — Nie życzący sobie nadal prenumerować, raczą numer ten zwrócić.

Od Redakcji.

Pragnąc najusilniéj zasłużyć sobie na łaskawe względy i uznanie Szanownych Czytelniczek naszych, wszelkich dokładaliśmy starań, by godnie odpowiedzieć położonemu w nas zaufaniu. A nie ustając w pracy, będziemy się starać i nadal o ile na to siły nasze pozwolą robić wszystko, coby tylko służyć mogło dla użytku łaskawych i Szanownych Czytelniczek „**Kaliny**“. W tym celu postaraliśmy się o prace celniejszych autorów naszych — a mając zapewnioną ich pomoc, z początkiem przyszłego kwartału zamierzamy „Kalinę“ wydawać tygodniowo — wielkości arkusza tego samego formatu, nie podnosząc ceny prenumeracyjnéj. Nadto chcąc ułatwić kupno przedmiotów tyczących się ubioru i toalety damskiéj — zawarliśmy umowę z panem Dziòbczyńskim właścicielem Magazynu Mód, który obowiązał się 10% odstępować kupującym u niego towary przez biuro sprawunkowe „Kaliny“. Zamówione zaś rzeczy dostarczać w najlepszych gatunkach z pierwszych fabryk paryzkich i wiedeńskich. Chcący więc korzystać z tego, raczą żądania swoje przesłać **w listach frankowanych z wyraźnem wymienieniem nazwiska, ostatniéj poczty i miejsca zamieszkania** — a staraniem naszém będzie jak najspieszniéj je załatwiać.

Redakcja.

☛ Do dzisiejszego Nru dla prenumerujących załącza się rycina **mód** oraz **arkusz krojów i wzorów.**

Historja sztuki dramatycznéj.

STUDIUM F. H.

(Ciąg dalszy.)

II.

b) ***O urządzeniu teatru greckiego.***

—

Według tego, cośmy dotąd o scenie powiedzieli widać, że dramat odbywał się u Greków nie w zamkniętych komnatach lecz w otwartém polu, na podwórzu, przed gankiem, a osoby chcąc sobie udzielić myśli, podzielić się uczuciami i zawiązać rozmowę wychodziły z wnętrza domu, a chór jako orszak osób współczujących, mających udział w akcji, pojawiał się z miasta stając przed domem na placu, który czasem przedstawiał miejsce zgromadzenia ludu, rynek itp., co zawsze w czasach bohatyrskich przed pałacem panującego się działo. Pochodzi to ze sposobu życia tego narodu. Obywatel grecki żył dla państwa a nie dla siebie, (a gdy dla siebie żyć zaczął, przestał być wolnym Grekiem), żył tedy na miejscach publicznych — na rynku. Tu widzimy charakterystyczną różnicę między teatrem greckim a naszym. U nas bowiem prawie zawsze wszystkie a przynajmniéj najważniejsze sceny odbywają się w pokojach, bo dziś nie ma życia publicznego; jego miejsce zajęła uprzywilejowana dyplomacja, która dawniéj od Boga, dziś od narodu wzięła ster życia ludów; ta dyplomacja wiedzie politykę na swoją rękę w imieniu niedołężnych, nieletnich tłumów, w izbach przy szczelnie zamkniętych drzwiach. U Greków każdy obywatel był dyplomatą, polityka oddychała powietrzem wolném rynkowém. Jeżeli zaś jaka scena musiała się odbywać wewnątrz pałacu, to wtedy przedstawiano ją w komnacie królewskiéj frontowéj, a okazywano przez otwarcie „podwoi królewskich“ np. mord Klytemnestry przez Oresta, w Elektrze Sofoklesowéj. Za temi trzema ścianami były komnaty, służące za garderobę i składy całego apparatu teatralnego. Scena wyłożona podłogą spoczywała na dylach opartych na murze, który można było widzieć z rzędów siedzeń; dla tego był ozdobiony słupami i posągami i zwał się „hyposkenion“, tak jak miejsce próżne pod nim. Scena attycka była niezmiernie długa, ale za to wąska, tak, że od ściany frontowéj do orkiestry było zaledwie kilka kroków, ale za to osoby przychodzące z boku sceny musiały długo kołować, zanim do środka sceny doszły, aby w akcji wziąść udział. Kształt sceny był długi prostokąt. Po-

chodziło to z estetycznego smaku Greków, którzy każdą osobę chcieli uwidocznić, żadnéj nie odjąć światła stawiając ją w cieniu drugiéj, co nawet w rzeźbach i obrazkach mytologicznych widzieć można, gdzie osoby tworzą długi rząd, mieszcząc się jedna za drugą tak, że każda najdokładniéj jest wykończona.

Dekoracja i maszynerja sceny attyckiéj, acz nie była tak bogatą i rozliczną jak nasza, nie była jednak tak ubogą i pojedynczą, jak twierdzi p. Szujski w Rysie dziejów literatury świata niechrześćjańskiego na str. 250 mówiąc o teatrze greckim: „Nad orkiestrą wznosiła się scena, złożona z trzech ścian murowanych, przedsionek pałacu przedstawiających, opatrzonych trojgiem drzwi. Otóż i cała zewnętrzność teatru greckiego nieznającego ani licznych zmian dekoracyj, ani maszynerji, jakiéj dzisiaj wymagamy“. Jestto taką prawdą jak to, że na placu orkiestry stał posąg Dyoniza (str. 250), gdzieśmy na podstawie świadectw autorów starożytnych i prac uczonych nowoczesnych jak C. O. Müllera, Fr. Wiselera „tymele“ tj. ołtarz Dyoniza, czytelniczkom pokazali. Że maszynerja attyckiéj sceny nie była tak ubogą, a tém mniéj „żadną“, dowieść nam może już ta jedyna okoliczność, że na scenie przedsiawiano w komedjach Aristofanesowych osoby przebrane za latające osy, chmury, żaby itp. w postaciach tak wielkich, że dzisiejsi fabrykanci i maszyniści dobrzeby sobie mózgi suszyć musieli, jak coś podobnego na scenę wprowadzić. Jaką zaś była owa dekoracja i maszynerja, w krótkości nie zaszkodzi wiedzieć dla dokładnéj a przynajmniéj wiernéj znajomości sceny attyckiéj, wzoru naszéj.

Malarstwo sceniczne (skenografia) już wcześnie się rozwinęło, skoro według świadectwa Witruwiusza niejaki Agatarchos malował dekoracje i scenę odpowiednio sztukom Eszyla. Według tego, cośmy wyżéj o widokach sceny powiedzieli, przeróżnie malowano i dekorowano scenę, i ten rodzaj malarstwa rozwijał się wraz z rozwojem sztuki dramatycznéj i stał się nawet rzemiosłem wyłącznem skenografów. — Do maszynerji scenicznych policzyć trzeba t. z. „periaktoi“. Były to słupy trójgraniaste ustawione w rogach sceny, które obracano według potrzeby za pomocą odpowiednich przyrządów. Jakież było przeznaczenie tych periaktów? Ponieważ miały trzy ściany odmiennie dekorowane, więc używano ich dla zmiany sceny. Były też to jedyne środki dla zmiany sceny. U nas każdy akt, a czasem i sceny tego samego aktu przedstawiają inne aktu przedstawiają inne miejsce. Inaczéj było u starożytnych. Ich tragedja zachowywała jedność czasu i jedność miejsca. Cały dramat odbywał się na jednem miejscu, i to jakeśmy wyżéj powiedzieli, najczęściéj przed pałacem panującego. Sceny zaś, które nie przedstawiały gry uczuć, myśli, postanowień w ogóle patos bohatyra działy się poza sceną np. pojedynek braci Eteoklesa i Polynicesa, mord Agamemnona, pogrzebanie Polynicesa przez Antigonę, a na scenę wchodziły jako ustępy epiczne, opowiedziane przez heroldów, posłów świadków. Dla tego też to rola heroldów i posłów tak ważna w starożytnéj tragedji.

W tym względzie chodziło nie tyle o to, aby widzów nie przerażać strasznemi widokami, choć wiemy, co za to Frynicha spotkało, lecz raczéj o to, aby nie uchybiać istocie tragedji, która była duchową, wewnętrzną, zasadzającą się na pathos bohatyra, na jego wewnętrznéj walce myśli, uczuć, postanowień, która się w mowie jego i czynach jako owoc przedstawia stanowiąc węzeł dramatyczny. I chociażby podobne sceny jak pojedynki, mordy, nie burzyły jedności miejsca, unikano starannie przedstawiania ich na scenie, lecz regularnie poza sceną. I jeżeli tę cechę greckiéj tragedji weźmiemy za doskonałość, to powstydzi się niejeden z naszych tragików, nie już pismak, w którego tragedji wszyscy się mordują, ale nawet i mistrz tragedji nowoczesnéj Szekspir, choć inne ogromne zalety jego sztuk zmniejszą tę wadliwość. Chcąc zadać kłam naszemu twierdzeniu, mógłby nam ktoś przytoczyć Sofoklesowego Ajaksa, który się na scenie morduje, lub Eszylowego Prometeusa, który na scenie w kajdanach jęki wydaje, ale zarzut ten byłby źle obmyślany, gdyż stan, pathos tych osób wymagał tego przedstawienia, i w przedstawieniu Ajaksa podobno nie jego samobójstwo, lecz jego wewnętrzna walka na głównym stoi planie, a walka wewnętrzna Prometeusza, walka na olbrzymią skalę, walka człowieka z bogiem odmalowana jest boską dłonią Eszyla tak olbrzymio a patetycznie, że zbledną wszystkie podobne sceny naszych tragików wobec niéj. Jest druga przyczyna, dla któréj podobnych widoków unikano na scenie. Już sama powierzchowność aktorów w maskach i koturnach była nieodpowiednia dla ruchów i walk. Walka takiego aktora byłaby śmiech wzbudziła, jak według świadectwa Luciana *(Somnium sive Gallus 26.)* wzbudzało śmiech w widzach upadnięcie aktora, przez co cel trajedji byłby zupełnie chybiony — od wzniosłego do śmiesznego był tu krok jeden i to nie duży, którego starożytna tragedja starannie unikała. Gdy tedy z tych istotnych przyczyn starożytna tragedja zachowywała ściśle jedność miejsca nie potrzeba było tych rozlicznych dekoracyj i maszyneryj, które nie tylko dziś, ale już w rzymskim dramacie tak ważną odgrywały rolę. Periakty wystarczały na tę zmianę sceny, jaka była konieczną. Obróciwszy je inną ścianą ku widzom, inny im pokazywały widok w dal; choć tedy główna scena niby ta sama została, to jednak na inne miejsce w inną krainę została przeniesioną, a z nią i cała czynność dramatyczna. Tym sposobem można było np. w Eszylowych Eumenidach przenieść oko widzów ze świątyni w Delfach do świątyni Pallady na

zamek Ateński. Większa zmiana miejsca nigdzie nie przychodzi; gdzie zaś przychodziło kilka odmiennych miejscowości np. domów, to scena przedługa była po temu, aby je jeden obok drugiego w rzędzie umieścić, zwłaszcza, że Grecy w teatrze nie szukali widoku rzeczywistości, któréj mieli gdzie indziéj dosyć, i lekka oznaka wystarczała, aby ich bujną wyobraźnię przenieść z miejsca na miejsce. — Mówiąc o jedności miejsca wspomnieliśmy o jedności czasu. Niech nam tedy wolno będzie tutaj sprawę jedności czasu choć nawiasowo umieścić. Nasze dramata dzielą się na akty, z których jeden czasem o lat kilka późniéj od drugiego się odbywa. U Greków tego nie było. A choć uczony nasz p. L. Siemieński w. Przeglądzie dziejów literatury powszechnéj T. I. str. 255. powiada: „że u Greków od początku do końca sztuki nie zapadała zasłona“ (bo jéj nie było) i „że Grecy nie znali naszego podziału na akty i między akty“, to jednak my na podstawie jakiéj takiéj znajomości tragedji Sofoklesa ośmielamy się twierdzić, że choć sztuki tragików polskich nie są podzielone przez nich samych na oddziały, na których czele napisaliby akt I., akt II. itd., to jednak są pewne części sztuki, którym my imię aktów (mówiąc po naszemu) dać możemy. Powiedzieliśmy wyżéj, że w greckich tragedjach chór stanowi istotną część takowych, bo według chóru nawet niektóre sztuki noszą nazwy jak „Etnianki“ Eszyla, „Trachinianki“ Sofoklesa. Chór ten nie śpiewał przez całą sztukę, lecz po pewnych stadjach akcji. Śpiew jego zwał się stasimon. Te stasima dzieliły sztukę na prolog, epeisodie i exodos, które to części za akty uważać możemy. Liczba i długość tych aktów jest dowolna i rozmaita, według liczby staximów. Liczba zaś staximów zależy od natury akcji, czy ta więcéj ma wątku dramatycznego, czy mniéj. Ten sam Sofokles napisał tragedje o siedmiu stadjach, czyli aktach jak Antigonę, i o trzech, jak Filoktet, który ma prolog, jedno epeisodion (właściwy akt) i exodos (wynik, rozwiązanie się kolizji dramatycznéj. (C. d. n.)

Nie stara Ballada.

Na niebie słoneczko płynęło złociste,
W kościele dziedzice spuścizny
Swych ojców, lud wiary się modli — o Chryste!
Daj wolność dla naszéj Ojczyzny!...

Kościelny w dzwon bije — a kapłan objaty
Tajemnic — rozpoczął już święte,
Zbawiciel wstępuje w kościelne komnaty
I w serca modlitwą przejęte...

I chwila jest ciszy — i w dymie kadzideł
Ofiara dopełnia się cudu —
I tylko anielskich usłyszysz brzęk skrzydeł —
A kapłan się zwrócił do ludu.

Rzekł: rozkaz od cara — a krwawy jak cary —
Te słowa na karcie wyżłobił —
Byś ludu praojców odstąpił swych wiary
I kościół na cerkiew przerobił.

Lud słucha — a potém kościelne sklepienia
Zatrząsnął boleści jęk długi —
Nie chcemy krwi ceną zaprzedać sumienia —
Wprzód Boże nim carskie my sługi.

I dzieci i starce jak woda wezbrana
Z okrzykiem nie chcemy! nie chcemy!...
Do nóg się czołgają młodego kapłana,
My ojcze za wiarę pomrzemy!

Więc lica kapłana radością spłonęły
Przez Chrysta na krzyża katusze,
Rzekł — dzieci! i ręce hostję podjęły,
Ja z grzechów oczyszczam wam dusze!

A potem gromnicę z ołtarza — w sklepienia
Drewniane kościoła porzucił —
I w dymie duszącym i w żarze płomienia,
Ostatni hymn Bogu zanucił.

I anioł do Pana niósł słowa modlitwy,
Kapłana i starców i dzieci —
A słonko na zgliszczach kościoła — na Litwy
Niebiosach — świeciło i świeci....

M. Kochanowski.

Złote kajdany.

Ze starych pamiętników przepisał

Tadeusz Sławiński.

(Dokończenie.)

* * *

Chciałem już stanowczą odmową przeciąć dalszą dyskusję o tym przedmiocie, gdy wtém nieznacznie szepnął mi jakiś głosik bardzo znany i przyjemny:

— Żądaj pan amnestji!

Oglądnąłem się szybko. Obok mnie stały obie córki pana Dominika. Z wielu względów wydało mi się to żądanie najwłaściwszém, gdy się już od téj propozycji żadną miarą wyprosić nie było można.

Najpierw dźwięk tego głosu, który mi podszepnął odpowiedź na pytanie pana Dominika i był mi tak

znany i drogi, że skoczyłbym za jego poradą nawet i do piekła, a zresztą méj dzisiejszéj roli wielkiego tryumfatora odpowiadało bardzo to wspaniałomyślne żądanie amnestji.

— Żądam amnestji — rzekłem machinalnie, nie wiedząc właściwie, kogo się tyczyć może to dobrodziejstwo. Ale pan Dominik rozumiał to jak widzę bardzo dobrze, bo szepnął coś Łukaszowi na ucho i dał mu jakiś znak dla mnie wcale niezrozumiały. Potém uścisnął mię jeszcze raz. Tym razem strach mój był wcale płonny. Pan Dominik nie udusił mnie wcale, uścisk ten był owszem mniéj serdecznym a tém samém i mniéj mordeczym. Czekała mnie jeszcze jedna zapłata za moją powolność.

Głosik, który mi odpowiedź tak szczęśliwą podszepnął, rzekł teraz do mnie, gdy pan Dominik trochę na bok odstąpił.

— Dziękuję.

I przytém twarzyczka pięknéj blondynki pokraśniała jasnym uśmiechem i żywym rumieńcem.

Nawet i siostra jéj przybrała tym razem wyraz twarzy bardzo łagodny i dodała:

— Bardzo dziękuję.

Wracałem do domu pełen tryumfu, zadowolenia i szczęścia.

* * *

Wracałem spiesznie by pofolgować nieco méj nawyczce kontemplacyjnéj, któréj pokoik mój samotny, przechrzczony poniekąd słusznie na celę więzienną tak dobrze odpowiadał. A miałem właśnie bogaty materjał do przeżuwania, cały zasób ostatnich wrażeń.

Najpierw powziąłem to przekonanie, że amnestja, o którą bez wiedzy i namysłu prosiłem pana Dominika, tyczyć się może jedynie pana Stanisława. Wszakżeż tak niedawno pan Łukasz oprowadzając mię po całém gospodarstwie upewniał stanowczo, że wszystkie cele więzienne są zupełnie próżne. Pan Stanisław był więc jedynym więźniem a raczéj przestępcą externowanym, na którego uwolnieniu tyle córkom pana Dominika a zwlaszcza jednéj z nich zależało.

Było to wprawdzie czynem bardzo nieroztropnym i niepolitycznym sprowadzać do domu pana Dominika swego najniebezpieczniejszego współzawodnika, ale mimo to byłem z tego zupełnie zadowolonym.

Raz się przecież ta cała historja wyjaśnić i skończyć musi — myślałem spokojnie. Jeżeli się domysły moje sprawdzą, a istotne imiona córek pana Dominika zgodzą się z mojemi przypuszczeniami, w takim razie obecność Stanisława zgoła nie szkodzić mi nie może. Jeżeli zaś rzecz ta ma się przeciwnie, to i w tym razie rad byłem przybyciu swego współzawodnika, którego chciałem naocznie dowodami łaski i przyjaźni pana Dominika i przychylnością jego córki przekonać, że sprawa jest przegrana.

Nazajutrz rano przyszedł do mnie pan Dominik i rzekł:

Przychodzę panu podziękować w imieniu Jadwisi za to, że uczyniłeś zadość jéj prośbie.

Próbowałem jeszcze łudzić się memi domysłami i wybadać skryte myśli pana Dominika.

— Chciałeś pan mówić — odpowiedziałem, w imieniu panny Wandy.

— Oddaj się Panu Bogu przychodzę w imieniu Jadwisi, która panu podszepnęła to słówko: „amnestja“. Wszakże w tym względzie moje upewnienie jest prawdopodobniejszém niżli to pańskie przypuszczenie. Za godzinę przyjdzie panu jeszcze ktoś dziękować... ot... ten... Stanisław. Wymówiwszy to odszedł pan Dominik. Przekonany zupełnie o płonności mych domysłów gotowałem się teraz do walki stanowczéj. Pan Dominik wspomniał tak niechętnie o Stanisławie, że nabrałem jeszcze więcéj otuchy. Byłem jednak trochę niezadowolony, że ta piękna blondynka nazywa się Jadwigą. Wanda miała dla mnie jakieś ponętniejsze brzmienie. Bądź co bądź uczułem, że jestem już pod wszechwładnym wpływem szalonéj miłości. Przysiągłem, że w drodze do celu wypowiem śmiertelną walkę każdemu, ktoby mi przeszkodę stawiał. Nawet najdroższéj mi osobie nie ustąpiłbym wcale.

Niepokoiło mię jeszcze trochę pytanie, dla czego panna Jadwiga dając mi tyle dowodów wzajemnéj przychylności, sprowadza teraz pana Stanisława, prosi nawet tak usilnie o jego powrót. Przed kilku dniami nazwałbym ten jéj czyn bezwstydną kokieterją, a dzisiaj dopatrzyłem w nim dowodu jéj szlachetności.

Stosunek panny Jadwigi z Stanisławem myślałem, wynikł zapewne nie ze skłonności serdecznéj, ale wszechwładnéj woli ojca. Panna Jadwiga chce go zerwać otwarcie, chce dowieść tém stanowczo, że idzie za głosem serca i gardzi wszelką niecną frymarką pięknych uczuć.

Zakochani mają jakiś odrębny szczególny wzrok, ani krótki ani długi. Patrzą więc w siebie przez osobne szkła, pryzmatyczno-miłosne!

Ta pewność szlachetnego postępowania panny Jadwigi uzbroiła mnie jeszcze więcéj do walki. Czekałem niecierpliwie na przeciwnika, by wymódz na nim zupełny odwrót, albo po trupie jego dotrzeć do swego celu!

Nad wieczorem ujrzałem zapowiedzianego przez pana Dominika gościa. Snać dla dopełnienia miarki niespodzianek, których mi w takiéj obfitości pobyt mój pomimowolny w Królewskiéj-Woli dostarczył, poznałem w rywalu moim kolegę z ław akademickich: Stanisława Zboińskiego. Prócz koleżeństwa długiego bliżéj jeszcze złączył mnie z Stanisławem jeden wypadek.

Stanisław zakochał się był podówczas w jakiéjś aktorce z niemieckiego teatru, ale nieufając nikomu, nie wyjawił przed nikim tajemnicy serca. Z téj okoliczności korzystała ta wyrafinowana kokietka bardzo zręcznie, bo równocześnie prowadziła kilka romansów. W liczbie adoratorów piękności germańskiéj, z których każdy najmocniéj był przekonany, że posiada wyłącznie wzajemność, znalazłem się ja, uniesiony jakimś głupim szałem. Dowiedział się o tém w krótkim czasie Stanisław. Namiętny i popędliwy w gniewie, wyzwał mię natychmiast na krwawy pojedynek. Będąc od niego o wiele starszym nie tyle wiekiem co doświadczeniem i rozwagą, poznałem od razu, że powinniśmy się raczéj obaj sprzymierzyć w spólnéj pogardzie bezwstydnéj kokietki, a nie iść za popędem junackich wybryków i narażać się na niebezpieczeństwo. Udało mi się przekonać zupełnie Stanisława, że nasz wspólny ideał pisał w jednéj godzinie trzy listy miłośne — do mnie, do niego i do jakiegoś barona — handlarza. Cała sprawa skończyła się na bardzo serdeczném, prawdziwie przyjacielskiém pojednaniu.

Ale fatalne jakieś przeznaczenie ciężyło snać nad naszą przyjaźnią. Starcie odroczone na czas pewny stało się dziś nieuniknioném. Za daleko zaszliśmy już obaj. Mnie nawet owładnął tak dalece szał namiętny, że gotów byłem aż do najsmutniejszéj katastrofy bronić uśpionych praw swoich.

Stanisław uścisnął mię prawdziwie serdecznie i po przyjacielsku. Nieśmiało i z pewną bojaźnią nawet odwzajemniłem mu się w tém przywitaniu.

— Któż się spodziewał, rzekł Stanisław, że po tak długiéj przerwie przyjaźń nasza zasili się i wzmocni uczuciem wdzięczności.

— Wdzięczności? zapytałem niby zdziwiony, w duchu zaś gotowałem się już do walki otwartéj, nie chcąc dłużéj obłudą wstrzymywać spodziewanego starcia.

— A jużciż wdzięczności — odparł żywo Stanisław. Wszakżeż jesteś moim dobrodziejem, tobie zawdzięczam mój powrót, poczuwam się więc do wielkiego długu wdzięczności.

Postanowiłem zrobić pierwszy krok, otwarty i nieprzyjacielski.

— Uwalniam cię od tego zobowiązania — rzekłem chłodno — bo jestem już aż nadto za to wynagrodzonym.

— Przez kogo? zapytał Stanisław niedomyślając się grożącéj burzy.

— Przez pannę Jadwigę i jéj ojca.

Stanisław drgnął niespokojnie na to oświadczenie i spojrzał na mnie wzrokiem, z którego dobywał się powoli wyraz nieufności i gniewu.

— Przez pannę Jadwigę? zapytał szemrząc niespokojnie.

Postanowiłem udawać, że nic nie wiem o miłości Stanisława, więc rzekłem śmiało:

— Tak jest, lecz mówmy otwarcie. Kochany Stanisławie możesz mi już gratulować, bo dzięki wzajemności panny Jadwigi i przychylności pana Dominika, spodziewam się wziąść w Królewskiéj-Woli rozbrat z stanem kawalerskim.

Na te słowa zbladł Stanisław i zatrząsł się od gniewu. Odtrącił ofiarowaną mu rękę i spojrzał na mnie wzrokiem gniewnym, szalonym prawie.

— Drażnisz mnie lub łudzisz się — rzekł do mnie głosem wyraźnym i dobitnym.

— Jestem najmocniéj o tém przekonanym — odparłem spokojnie z udaném zdziwieniem.

— Czy nie wiesz, że jestem narzeczonym panny Jadwigi? zapytał Stanisław i zmierzył mię przeszywającym na wskróś wzrokiem.

Przyszła pora stanowczego, walnego zaatakowania mego nieprzyjaciela.

— Ty jesteś narzeczonym panny Jadwigi? zapytałem z ironicznym uśmiechem. Gdyby panna Jadwiga była artystką teatru niemieckiego we Lwowie powiedziałbym ci, żeśmy wpadli w gęste sidła przebiegłéj kokietki i podalibyśmy sobie znowu dłoń przyjacielską. Tutaj niestety rzecz się ma inaczéj.

Stanisław drżał jakby pod wpływem jakiego napadu febrycznego.

— Na to dostarczyła mi dowodów sama panna Jadwiga — ciągnąłem daléj, o ile to się tylko z skromnością i przyzwoitością zgadzało.

Stanisław milczał jeszcze chwilę. Snać pasował się z swoją niezwykłą gwałtownością, którą silna namiętność aż do szaleństwa podsycała. Wreszcie rzekł:

— Panie! poznaję dopiero dzisiaj, że jesteś nikczemnym człowiekiem!

— Panie! krzyknąłem oburzony.

— A dla mnie — ciągnął daléj strasznie blady Stanisław, jesteś jeszcze nadto złym duchem. Po raz drugi wstępujesz mi pan w drogę. Los wiąże nas z sobą fatalnym węzłem, ale dzisiaj przerwę go choćby nawet najgwałtowniejszym środkiem. Ja albo pan, zawsze jednak jeden z nas tylko może jutro swobodnie żyć na ziemi.

— Znowu ta śmieszna myśl pojedynku — rzekłem z uśmiechem ironicznym.

— Którego jednak tym razem pańska tchórzowska perswazja pewnię nie odroczy.

— Tak, wierzę, że już dzisiaj ta niesforna popędliwość pana przyprawi go o nieszczęście.

— Próżne groźby! Ani małoduszna perswazja, ani te groźby nic nie pomogą! Będziemy się strzelać!...

— Bez pistoletów! rzekłem — bo ani ja, ani pan ich nie masz.

— Znajdę je koniecznie — a natychmiast na polankę.

W ciągu téj gwałtownéj rozmowy słyszałem ciągle pod drzwiami mego pokoju jakieś szepty i stąpania na palcach. Roztworzyłem teraz dopiero drzwi, by się przekonać, czy szpieg jaki pana Dominika nas nie podsłuchuje. W drzwiach stał pan Łukasz z pudełkiem.

— Pan Dominik — rzekł — proszę mi nie przerywać, przesyła panu na pamiątkę dnia wczorajszego dwa pistolety. Ale ostrożnie z niemi, bo są mocno kulami nabite.

Przy tych słowach zwrócił się ku drzwiom i wyszedł. Stanisławowi zaiskrzyły się oczy bądź to z gniewu na ten widoczny znak mego tryumfu wczorajszego i przychylności wielkiéj pana Dominika, bądź to z radości, że zaspokojeniu jego dzikiéj chęci nic teraz na zawadzie nie staje.

— Niczego nam już tedy nie braknie — rzekł do mnie znaczącym bardzo tonem, chwytając gorączkowo za pudełko z pistoletami.

— Mnie nie, ale panu zdałaby się większa doza rozsądku i rozwagi.

— Powiedziałem już raz, że pańskie uwagi nie odniosą tym razem pożądanego skutku. Będziemy się strzelać — dodał i rzucił na mnie wzrok pogardliwy, którym chciał mi zapewne zarzucić tchórzostwo.

Zimna rozwaga opuściła już i mnie nawet. Uniosłem się szalonym gniewem i zawołałem:

— Jestem gotów — chodźmy!

Stanisław nie cofnął wyzwania. Wymknęliśmy się niepostrzeżenie z domu i pędziliśmy co tchu przez doły, rowy i krzaki na oznaczone przez Stanisława miejsce pojedynku. Przeciwnik mój uniesiony szaloną rozpaczą i wściekłym gniewem pędził prędko, ciągle złowrogo zachmurzony. Poznałem, że u tego namiętnego człowieka rozwaga nie znajdzie przynajmniéj dzisiaj przystępu.

W połowie drogi opamiętałem się zupełnie. Gdyby nie cisza tak poważna, odpowiednia najzupełniéj grozie naszéj wspólnéj sytuacji, i widok tak gniewnego przeciwnika, wyśmiałbym głośno mój szał pojedynkowy, który mię tak gwałtownie uniósł. Stanąłem wreszcie, by zaczerpnąć świeżego powietrza, Stanisław zatrzymał się tożsamo, chociaż jego wzburzone piersi nie czuły potrzeby orzeźwienia.

— Panie! rzekłem do niego z powagą i godnością. Przyznaję, że rzecz ta inaczéj się załatwić nie może. Ja przynajmniéj wolę zginąć tutaj, niżeli wyrzec się szczęścia i oddać siebie na pastwę rozpaczy. Ale chociaż moralnie zmuszony przez pana do tego kroku, śmiem ponowić moje przedstawienia. Możemy w innem miejscu i czasie rozprawić się z sobą, tym zapamiętałym i nierozważnym pośpiechem możemy tylko wiele sprawić przykrości naszemu wspólnemu przyjacielowi panu Dominikowi.

— Powtarzam, że nie odstępuję od mego zamiaru — odparł Stanisław ciągle gniewny aż do zapamiętałości.

— Jeżeli już tak być musi — ciągnąłem daléj — to lepiéj będzie rozstrzygnąć tę sprawę stanowczo — a bez wszelkiego niepotrzebnego hałasu. Ciągnijmy gałki, czarna niech będzie wyrokiem nieodzownéj śmierci jéj właściciela. Stanisław namyślił się przez chwilę. Wreszcie uśmiechnął się szyderczo i odparł:

— Ha, to byłoby dla pana może o wiele wygodniéj. Nie! już jesteśmy blizko miéjsca wskazanego.

Pojąłem od razu znaczenie tego szyderczego uśmiechu. Miał to być dla mnie nowy policzek, nowy niezasłużony zarzut tchórzostwa. Zacisnąłem pięści i pędziłem prędko za Stanisławem na wskazane miejsce.

Stanęliśmy wreszcie na polanie. Mimo widoku blizkiéj przykréj katastrofy, grożącéj smutną ewentualnością przekonałem się stanowczo, że żadna siła nie potrafi mnie oderwać od ręki panny Jadwigi. Postanowiłem jednak ponowić jeszcze raz me przedstawienia Gdyby mi się tylko udało zwlec na czas jakiś strzał stanowczy! Czas léczy najdotkliwsze rany, mógłby więc może zatrzeć jakimś cudownym sposobem i to fatalne nieporozumienie.

— Panie! zagadnąłem znowu mego przeciwnika na zajętém stanowisku. Musimy odwlec tę rozprawę, bo nie mamy świadków.

— Tém lepiéj — odparł ponurym głosem zachmurzony Stanisław. Przyjaciel zamącił mi moje szczęście. Kogóż wezmę na świadka mego nieszczęścia? Nie chcę złych duchów wywoływać. Zresztą na cóż to świadków! Strzelamy się na długość tego szala.

Przy tych słowach rozwiał szal dość krótki i dał mi do rąk jeden koniec.

— Panie Stanisławie! — ciągnąłem daléj trzymając za fatalny koniec, jakoby za połę śmierci. Nie mamy lekarza, a bez niego obejść się niepodobna.

— Dajmy pokój tym perswazjom! krzyczał mocno rozgniewany pan Stanisław. Jak też panu miłém jest to nikczemne życie, którém siejesz wszędzie nieszczęście.

Zgrzytnąłem zębami. Gniew okropny, chęć śmierci i krwi na zmycie tylu rzuconych mi w oczy zniewag i obelg przerwały mi dalsze słowa. Chwyciłem gorączkowym ruchem ofiarowany mi pistolet i stanąłem w pogotowiu.

— Raz — dwa! liczył z okropną, zimną pewnością mój przeciwnik.

— Trzy!

Dwa okropnie głośne strzały padły równocześnie!

Gdy się już w powietrzu rozwiał słup dymu, co mię nieprzebitą zaporą od mego przeciwnika oddzielał, niespokojném okiem szukałem trupa — wyrzucając ju

sobie naprzód spełnione morderstwo. Jakżeż mocno zdziwiłem się, gdy zamiast zimnego trupa ujrzałem na przeciwnéj stronie żywego Stanisława, który na mnie tożsamo patrzał z trwogą i niepokojem.

Położenie nasze było śmieszne bardzo. Pewni, że obaj, a przynajmniéj jeden z nas polegnie od kuli — spojrzeliśmy teraz na siebie z trwogą, osłupieniem i wstydem, który nam do słów przyjść nie pozwolił.

W nieskończoność zapewne przeciągnęłoby się to nasze obopólne milczenie, gdyby go nie przerwał głośny śmiech i nagłe zjawienie się panów Dominika i Łukasza, którzy obaj gdzieś w pobliżu całéj téj scenie przypatrywać się musieli.

— Oto mi zuchy oddaj się Panu Bogu — krzyczał z daleka pan Dominik. Poszli na pojedynek z pistoletami, a kule w domu zapomnieli.

— Zuchy, proszę mi nie przerywać — wtórował pan Łukasz.

Przyszło mi na myśl, że podczas mojéj rozprawy gwałtownéj z Stanisławem ktoś pod drzwiami widocznie nas podsłuchiwał, bo słyszałem wyraźne stąpania pod drzwiami. Pan Dominik był więc już o wszystkiém z góry uwiadomiony.

Staliśmy obaj mocno tém odkryciem pana Dominika upokorzeni.

— Otóż oddaj się Panu Bogu — prosił starzec daléj — strzelać się bez kul, tak bardzo modnie, postępowo, bez żadnego barbarzyńskiego przelewu krwi lub niebezpieczeństwa. A to chwaty! Szerpentyna w kąt — bo oddaj się Panu Bogu mogłaby poplamić tę wyzłacaną facjatę, pistolet nabity w kąt, bo mógłby od przypadku osmolić białą rękawiczkę. Tak to, tak oddaj się Panu Bogu! Dzieci jesteście! Nie bawcie się w piasku starożytną zbroją, nie możecie podźwignąć w wątłéj dłoni dzielnéj szabli staréj, więc machacie drewnianym pałaszykiem. I to jest także postęp!

Wyprowadził nas w pole pan Dominik i skorzystał należycie z tego niezasłużonego upokorzenia.

— Ależ to wina pana — rzekłem nieśmiało spoglądając na pana Łukasza. Pan Łukasz upewnił mnie, że pistolety są ostro nabite.

— Dawniéj bili się porządnie — odparł pan Dominik; ale nie dla lada jakiéj błahéj pobudki. Wiedziałem, o co wam idzie. Cała ta sprawa nie warta chuby kłaków, oddaj się Panu Bogu, a tém mniéj dwóch całych nabojów, więc sobie umyślnie tak postąpiłem. Dałem wam pistolety z ślepemi nabojami. O cóż to wam chodzi mościpanie. Pan Stanisław żeni się z Jadwisią a pan Stanisław z Wandą. Któż tu przeszkadza téj żeniaczce?

— Z panną Wandą? — zapytałem sam siebie.

— Tak — odparł pan Dominik. Wszakżeż zakochałeś się pan w niéj, a ona tożsamo już zbałamucona.

— Upewniam pana, że o tém nigdy nie myślałem.

— Nie? A to oddaj się Panu Bogu przepadło. Widać, że panu podobają się lepiéj szatynki niżeli blondynki.

— Ależ dla Boga! wołałem. Panna Jadwiga jest blondynką. Za to ręczyć mogę teraz słowem honoru.

Stałem osłupiały, nie mogąc dobyć z siebie ani jednego słówka. Pan Dominik i Łukasz, a nawet Stanisław śmiali się już serdecznie. Wkrótce i ja im zawtórowałem. Wreszcie raz przecież skończyło się to nieporozumienie. Teraz dopiero odpłaciłem się panu Dominikowi za te wszystkie jego serdeczne uściski tak szczérze, że aż jęknął z bólu. W ciągłym śmiechu ściskaliśmy się wszyscy przejęci najżywszą radością. Szliśmy wszyscy ku domowi w największéj zgodzie zwłaszcza ja z Stanisławem. Przed domem czekały na nas córki pana Dominika, także pewnie temi strzałami i zniknięciem ojca mocno zaniepokojone. Widząc nas wszystkich tak wesołych, parsknęły tożsamo głośnym śmiechem Stanisław pospieszył przeprosić za ten niepokój pannę Jadwigę, a ja pannę Wandę. Pociesznie musieliśmy też wyglądać w butach powalanych błotem i śniegiem, w surdutach podartych o przebyte krzaki i zarośla! Stanisław wyglądał do tego jeszcze jak prawdziwy upiór — włosy najeżyły mu się dziwacznie, a cera była trupią.

* * *

Zamknąłem się z Stanisławem w méj celi więziennéj, by się z tych wszystkich wypadków dzisiejszego dnia do woli naśmiać.

— Jakżeż mam cię za to wszystko przeprosić — zapytałem Stanisława.

— To jest tylko odwet z twéj strony za figla, który ci mimowoli spłatałem.

— Nie wiem nic o nim.

— A sanie żółte!

— Ach to ciekawa historja, któréj wyjaśnienia przecież raz się doczekałem. Jakżeż to było?

— Uciekając przed pogonią pana Dominika a więcéj jeszcze śpiesząc się dla innych ważnych przyczyn przejeżdżałem właśnie przez Zagrodówkę, gdy sanie moje w jednem miejscu mocno się nadpsuły. Zawołałem stelmacha, który mi aż za kilka godzin odjechać pozwolił. Zrozpaczony uciekłem się do szalonego kroku. Widząc na dziedzińcu swego brata tyle sań, wziąłem pierwsze lepsze, a stelmachowi kazałem moje sanie po naprawie odwieść w to samo miejsce. Było to już około północy. Prócz gości spali wszyscy, więc kradzież poszła wyśmienicie. Nawet przy odjeździe nie połapałeś się ani ty, ani twój pijany furman. Ale odpokutowałeś za to moje szaleństwo!

— Ależ to było dobrodziejstwo — zawołałem, za które winienem ci dozgonną przyjaźń i wdzięczność.

Uścisnęliśmy się obaj bardzo serdecznie.

Nie mogłem sobie jeszcze tylko jednéj rzeczy wytłómaczyć: dla czego pan Dominik drożył się tak długo z wyjaśnieniem prawdziwych imion swych córek? Jakby na zaspokojenie téj mojéj ciekawości wszedł właśnie do naszéj celi pan Dominik. Prosiliśmy więc obaj o wytłumaczenie téj tajemnicy.

— Otóż oddaj się Panu Bogu — rzekł — i wy nawet nie możecie się domyślić? A to jest rzecz tak jasna, jak na dłoni. Dzisiaj żenią się wszyscy postępowo. Każdy żak pląta się dzisiaj po wszystkich domach, gdzie są panny i wywąchują tysiączki posagowe. Posądzałem was obu z początku o takie same zamiary. Obie moje córki dostaną po 100 tysięcy w posagu. Myślałem sobie oddaj się Panu Bogu, że zamieniacie się głowa za głowę bez żadnéj kabalardy, jeżeli żaden z was nie idzie za głosem miłości. Dla tego to poprowadziłem tak intrygę, żeście się w jednéin imieniu zakochali. Byłem pewny, że będziecie ciągnąć gałki o żonę, przyjmując obojętnie każdy dar losu. Pokazało się, że jestem w błędzie. Mocno mię to cieszy, mościpanie.

Uśmialiśmy się serdecznie z tego zręcznego fortelu pana Dominika.

— A teraz proszę się rozgościć w innych pokojach, rzekł pan Dominik. Przecież nie będziecie do djabła ciągle w tém więzieniu siedzieli.

— To więzienie odparłem, będzie dla mnie najmilszém wspomnieniem na całe życie. Nie ruszę się ztąd prędzéj, aż po....

Tu przerwałem mimowolnie.

— Aż po weselu — dodał pan Dominik. Oddajże się Panu Bogu — z więzienia wyjdziesz na świat wolny wprawdzie, ale za to okuty w ciężkie kajdany małżeńskie.

— W złote kajdany — odparłem — które z rozkoszą dźwigać będę do śmierci.

— Ho, ho mościpanie — rzekł pan Dominik — nie tak prędko to się wszystko stanie. Pozostaje jeszcze jeden warunek do spełnienia — banicja trzechmiesięczna.

— Od tego uwalnia mię już ogłoszona amnestja.

— Otóż złowił mię na wędkę oddaj się Panu Bogu — rzekł Pan Dominik z uśmiechem dobroduszym i pomrukując ciągle wyszedł z méj celi więziennéj.

K O N I E C.

Pieniądze i Oczy.

Szkic dramatyczny w 1. akcie

przez J. N.

(Ciąg dalszy.)

ZENON.

(bardzo zmięszany) Czyż to być może!...

BARON.

Tak jest... tak jest.... Jesteś pan wyrocznią w rzeczach sztuki dla całego naszego towarzystwa.... Stoisz bardzo wysoko!... Słowo honoru...

ZENON.

Ah! Panie Baronie!.. nigdym się nie spodziewał tego!...

BARON.

Otóż w tém położeniu możesz mi wielką wyrządzić usługę....

ZENON.

Ależ szczęśliwym będę.... Pan Baron wié, że ja zawsze na rozkazy ludzi z urodzeniem i majątkiem pana Barona.

BARON.

A wiem... wiem... żeś ty łaskaw na nas panie Zenonie, iż bronisz nas przed napadami ulicy.... Owóż słuchaj....

ZENON.

Z największą uwagą słucham....

BARON.

Zrób to dla mnie, żeby Celina nie miała talentu.

ZENON.

(niezrozumiawszy) Żeby... żeby....

BARON.

(spokojnie) żeby Celina nie miała talentu....

ZENON.

(podskakując) Ależ na Boga! zupełnie tego nie rozumiem....

BARON.

Ah! myślałem, żeś pan domyślniejszy.... Widzisz... mnie się ta dziewczyna zupełnie podobała....

ZENON.

Wierzę... ale....

BARON.

Jaka to rączka... jaka nóżka!.. a oko... oko!.. ah!... A młodziutkie jak pączek... takie właśnie lubię.... Wystaw no sobie co to będzie za trzy albo cztery lata, kiedy się rozwinie....

ZENON.

Prawda... prawda... ale ja jeszcze nic nie rozumiem co ja tu mam do roboty....

BARON.

(z intencją) Tak... z jéj wdziękami... nic....

ZENON (n. s.)

Doprawdy.. portret starego osła....

BARON.

Co takiego?

ZENON.

Nic... nie mogę zrozumieć....

BARON.

Otóż szaleję za tą dziewczyną... ale to harde, niby księżniczka jaka... ani się zbliżyć nawet do niéj. .

Nie mogłem się wstrzymać od wykrzyku, zdradzającego moje wielkie zdziwienie.

— I panie z nami, na polowanie w zimie? mówiłem zdziwiony.

Obie panny uśmiechnęły się. W uśmiechu tym niewinnym może dopatrzyłem zaraz nieprzyjemnéj aluzji wymierzonéj na moją osobę. Bo zasłużyłem też rzeczywiście na to. Dzień był ciepły, prawie wiosenny — a mój ubiór był tak ciepły, jak gdybym się wybierał w gościnę do Samojedów i Eskimosów.

Obie amazonki pobudziły dzielne konie do szybkiego biegu, by się złączyć z panem Dominikiem, ja zaś powolnym kłusem coraz bardziéj, zostawałem w tyle zajęty ciągle bardzo przykremi myślami.

— Piękna historja! — myślałem w duchu. Panny jadą na polowanie zimowe, przykryte zaledwie zgrabném białém futerkiem, którego istotném przeznaczeniem nie było ciepło tylko elegancja, a ja mężczyzna włokę się za niemi w ciężkiém futrze, jak gdybym się gotował do walki z trzaskającym mrozem!

Ze złości uderzyłem silnie mego konia. Mimowoli stałem za chwilkę obok panny Wandy i Jadwigi.

— Panie będziecie się zapewne tylko przypatrywać całemu polowaniu, rzekłem zmięszany chcąc jakimkolwiek sposobem zawiązać pogadankę i wybrnąć z tego kłopotliwego położenia.

— Tak jest — odpowiedziała blondynka.

Krząknąłem kilka razy, bo groziło mi niebezpieczeństwo dłuższéj przerwy. A w takim razie wątpię, czy potrafiłbym powtórnie zawiązać konwersację.

— Jest to zabawa nie bardzo bezpieczna — rzekłem wysiliwszy cały swój talent konwersacyjny.

— Nie tyle dla nas, co dla panów — odparła znowu blondynka patrząc na swoją ciągle milczącą siostrę.

Ciągle jeszcze skonsternowany nie byłem pewny, czy przy pierwszém lepszém słowie nie popełnię jakiego sążnistego błędu.

— O dla nas jest to istotnie niebezpieczna zabawka — cedziłem powoli. Jedno mylne drgnięcie ręki rozstrzyga o życiu człowieka. Wilk lub dzik zraniony, nie przebaczy pewnie. A jak wielkiém jest to niebezpieczeństwo, najlepiéjby potrafił określić poczciwy Łukasz, który dla odmalowania całéj grozy téj ryzykownéj zabawy użył obrazu nieodwzajemnionéj miłości.

Obie moje towarzyszki parsknęły głośnym śmiechem.

— I pan przyznajesz trafność temu niefortunnemu porównaniu? zapytała żywo piękna blondynka.

— Nie ma tu właściwie żadnego *medium comparationis*, rzekłem z mentorską powagą i nauczycielską pewnością siebie. Podobieństwo niejakie zachodzi tylko w smutnym rezultacie, który boleśnie dotknąć musiał pana Łukasza.

Znam całą historję życia pana Łukasza — rzekła blondynka, którą tu odtąd wiedziony sympatją imienia i ułudą nadziei, Wandą nazywać będę. — Pan Łukasz jest doskonałym myśliwym i celnym strzelcem w knieji, ale....

Panna Wanda przerwała tu swoją uwagę. Pochwyciłem spiesznie to słówko, by jakoś całkiem nieznacznie sprowadzić rozmowę na inne pole. Słówko „ale“ jest bardzo wielkiém dobrodziejstwem mowy ludzkiéj. Niejednokrotnie już pomogło mi ono wybrnąć z podobnego kłopotu.

— Ale przyznasz pani — odpowiedziałem — że i najcelniejszy strzał nic nie zdziała, jeżeli natrafi na nieprzebitą zaporę. Odbije się wtedy od twardéj stalowéj łuski i gotów jeszcze z powrotem ugodzić w strzelca.

— Czy pan to chcesz zastósować do serca kobiecego? — zapytała nieco zmięszana Wanda.

— A gdyby nawet i tak było? — odparłem.

— Mogłabym pana zupełnie uspokoić. — Strzała ta nie będzie wcale niebezpieczną. Odbije się o stal, a trafi potem z powrotem w zimną kamienną bryłę, która nie poczuje żadnéj szczerby.

— Dobre za nadobne — pomyślałem. Odgryzła się doskonale — nazwała serce mężczyzny bryłą kamienną.

Chciałem tożsamo odwetować i rzekłem tryumfująco:

— Mylisz się pani — z takiego zetknięcia się kruszcu z kamieniem rodzi się iskra żywa!

— I natychmiast gaśnie — odparła panna Wanda.

Zostałem zupełnie zbity z toru. W chwili tak stanowczéj dar koserwacyjny, którego wprawdzie nigdy w zbytniéj mierze nie posiadałem, opuścił mię zupełnie. Bądź co bądź chciałem już zupełnie wyrozumieć pannę Wandę, dla tego chociaż poznawałem dobrze niestósowność a może nawet i śmieszność przedmiotu naszéj pogadanki, postanowiłem nie wypuszczać z rąk tego nieszczęsnego strzału.

— Ależ pani! — zawołałem. Przyprowadzasz mię pani do rozpaczy. Jeżeli pani odmawiasz wszelkiéj skuteczności każdemu strzałowi, po cóż tedy narażamy się tutaj na śmierć niechybną?

— To jest właśnie pańskie twierdzenie — odparła panna Wanda — a po chwili dodała: I na niezwalczonego Achillesa znalazła się strzała Parysa — a na Troję pomogły strzały Filokseta.

— Ach to okropna nauka — zawołałem. Dziś nie mamy już wieszczów. Któż tedy ostrzeże nierozważnego zapaleńca, żeby się nie brał do bezskutecznéj walki, bo nie jest ani Parysem ani Filoksetem? A nikt przecież nie odgadnie z góry zagadkowego przeznaczenia.

W téj chwili nadjechał naprzeciw nas pan Dominik. Zwolniliśmy bowiem w biegu zajęci tą żywą poga-

6*

danką. Panna Wanda zaśmiała się jeszcze głośno i pospieszyła prędko do ojca — panna Jadwiga, która bardzo poważnie tylko rzadkim i nieznacznym uśmiechem brała udział w pogadance, jechała za nią całkiem powoli.

— Ależ oddaj się Panu Bogu — krzyczał z daleka pan Dominik. Spóźniłeś się mości panie — a tu już wszyscy na swojém stanowisku, a nawet już psy coś tam w lesie wypłoszyły. Prędzéjże, prędzéj do lasu.

W minucie byliśmy na miejscu. Zastaliśmy już wszystkich gotowych do strzałów na stanowiskach, które pan Dominik z taką wprawą i rutyną myśliwską wszystkim porozdzielał, że zwierzę wpędzone w to miejsce wpadłoby koniecznie w gęstą matnię kul, z któréjby ujść żywo w żaden sposób nie mogło. Spóźniwszy się nieco stanąłem na ostatniém miejscu w długim szeregu strzelców. Obie córki pana Dominika bez żadnéj broni stały na najbezpieczniejszém miejscu.

Głos psów goniących jakieś zwierzę był coraz głośniejszy i bliższy nas. Mimo to dumałem całkiem obojętnie.

— Jak należy tłómaczyć te słowa panny Wandy? Miałożby to być dla mnie przestrogą czy zachętą i nadzieją, czy téż w końcu pustym żartem tylko? Któż mi prócz niéj powiedzieć może, że jestem tym człowiekiem przeznaczenia? — Nie. Słowa jéj powinny być dla mnie przestrogą, do tego zapewne zmierzała. Jest ona pewnie Jadwigą, narzeczoną pana Stanisława — wszystko stracone. Ale dla czego? Panna Wanda jest może panną Wandą nie narzeczoną, a w takim razie nic nie stracone!

Nagle ocknęło mię przeraźliwe szczekanie psów gończych i pomięszany krzyk chłopów sprowadzonych z dzwoneczkami do wypłoszenia zwierzyny. Na chwilę ucichły te przeraźliwe głosy i wśród ciszy bardzo krótkiéj usłyszałem trzask dwukrotny spalonéj kapzli i dwukrotne raptowne uderzenie kurka o goły kominek. Potém w podwójnie przeraźliwy sposób ponowiło się wycie goniących psów i krzyk kilkunastu ludzi, z którego przebijała się teraz widocznie trwoga.

Wkrótce wyjaśniła się przedemną przyczyna tego nagłego popłochu. Na czterdzieści kroków przed sobą ujrzałem dwa dziki gnane wprost na mnie przez zgraję psów rozwścieklonych. Była to niespodzianka wcale nieprzyjemna. Stałem sam jeden z dwoma strzałami, jeden z nich tylko mniéj celnie wypuszczony powiększyłby dziką trwogę rozjuszonego zwierzęcia, które w szalonym swym pędzie przed wściekłą pogonią, gotowe było każdą przeszkodę w drodze w proch zetrzeć.

Strzeliłem dwa razy licząc już więcéj na pomoc boską, niż moją wprawę myśliwską. Dwie kule grządnęły i ugrzęzły w śmiertelnych ranach, psy rozżarte zaczęły szarpać z dziką radością na wpół martwe dwa dziki. Po chwili dopiero ochłonąłem z bojaźni, gdy przez rozwiany kłąb dymu zobaczyłem na pobojowisku obu martwych nieprzyjaciół. Cisza grobowa trwała dość długo. Wielka obawa przed spodziewanym nieszczęsnym wypadkiem i podziwienie wywołane rzadką celnością mych strzałów nie dało nikomu przyjść do słowa. Ze wszystkich najbardziéj byłem zdziwiony i najdłużéj téż milczałem oparty bezwładnie o grube drzewo.

Tylko opatrzność boska mogła mię z tego niebezpieczeństwa ocalić. Strzelałem dobrze ale nigdy tak celnie.

— Jak mógł zwierz przez cały szereg myśliwych umknąć niepostrzeżenie? — pytałem sam siebie. Dla czego nie słyszałem strzałów pana Dominika i Łukasza? Byłaż to może niespodzianka? W takim razie dość było wypuścić jednego tylko dzika na mnie. Na jednego wystarczyłyby dwa strzały, ale dwie kule na dwóch nieprzyjaciół w chwili stanowczéj popłochu i trwogi jest zawsze za mało. Może to wszystko stało się umyślnie na niechybną moją zgubę!

Zagadka ta wnet się wyjaśniła. Ujrzałem z dala Łukasza z twarzą trupiéj bladości, postępującego naprzód bardzo powolnym krokiem. Za nim pędził pan Dominik. Z oczu tryskały mu iskry gniewu, z piersi dobywały się głuche przekleństwa i złorzeczenia, a drżące ręce gotowały się do śmiertelnego razu kolbą od strzelby w głowę skonsternowanego ministra policji. Co tchu popędziłem w pomoc nie zważając nawet na jakiś anielski głosik, który mi tuż nad uchem wyszeptał, to czarowne próżności tak ponętnie łechtające słówko: gratuluję.

Za chwilę stałem już między panem Łukaszem i Dominikiem, pierwszego popychając naprzód a drugiego wstrzymując w szalonym pędzie.

— Puszczaj — krzyczał ochrypłym głosem pan Dominik. Powieszę tego draba oddaj się Panu Bogu, nie, nie powieszę ale zastrzelę. Wiesz pan przynajmniéj, co mi ten niepoń zrobił? Ależ to hultaj oddaj się Panu Bogu. Zamiast nabić dokumentnie swoją i moją strzelbę, nałożył u jednéj tylko kapzle na kominki, a drugą nabił ale o kapzli zapomniał. Pędzą dziki, ja się zmierzam, ciągnę a strzelba: trask. Dziki lecą daléj, ten hultaj mierzy a strzelba klap. Otóż to tak oddaj się Panu Bogu. Dziki rozjuszone, postrzelone w lesie przez jakiegoś niedołęgę popędziły wprost na pana i rozszarpały cię pewnie na śmierć.

Zaśmiałem się serdecznie.

— Ależ widzisz pan, że żyję — rzekłem. Jestem cały w najszérszém tego słowa znaczeniu, a dziki leżą opodal od nas.

— Jakto dwoma strzałami zabiłeś dwa dziki? zapytał pan Dominik.

— Oczywiście! — odpowiedziałem tryumfującym lakonizmem.

W odpowiedź na to oświadczenie uścisnął mię pan Dominik tak serdecznie, że wobec téj szczérości wstrzymującéj na chwilę zupełnie swobodny oddech, dopiero w przebyte niebezpieczeństwo wydało mi się bardzo małém.

Pan Łukasz na to oświadczenie moje nadbiegł tożsamo, chciał mi się prawie do nóg rzucić, ale wstrzymałem go za rękę. Pan Dominik puszczał wodze swemu gniewu, już tylko w ponurym wzroku, którym mierzył ustawicznie ściganego złoczyńcę.

— A teraz przystąpmy do głównéj sprawy — rzekł pan Dominik bardzo smutnym tonem. — Widzisz pan tę strzelbę oddaj się Panu Bogu? Ile karbów w jéj łożu wyżłobionych, tyle padło od niéj wilków i dzików. Dostałem ją od mego ojca na jego śmiertelném łożu z tém zastrzeżeniem oddaj się Bogu, że tylko raz na dziesięć strzałów wolno z niéj chybić. W przeciwnym razie powinienem oddać ją lepszemu odemnie strzelcowi. Ta strzelba była mi droższą niżeli cała Królewska-Wola oddaj się Panu Bogu mościpanie, ale dziś chybiwszy dwa razy na dwa strzały, dopełnić muszę woli nieboszczyka i oddaję ją tobie panie, oddaj się Panu Bogu mościpanie.

Po tych słowach ofiarował mi strzelbę ze łzą w oku. Pan Dominik stał skamieniały z bólu i wstydu. Domyślałem się, że strzelba ta musi być największym klejnotem familijnym, skoro się panu Dominikowi tak trudno rozstać z nią przychodzi. Postanowiłem tedy nie przyjąć jéj pod żadnym warunkiem. Ale pan Dominik był nadto skrupulatnym. Trzeba było więc jakiegoś nader zręcznego i przebiegłego fortelu, by go przekonać, że dzisiejszy fatalny wypadek mimo wyraźnego brzmienia ostatniéj woli nieboszczyka ojca nie odbiera mu wcale prawa posiadania tak cennego dlań klejnotu.

— Gdzieżbym ja przyjął tę strzelbę — rzekłem z udanym uśmiechem ironicznym. Zamieniał stryjek siekierkę za kijek. Za strzelbę tę niepewnych dla mnie zalet miałbym porzucić moją poczciwą dubeltówkę, która dzisiaj dwoma strzałami powaliła dwóch dzików.

— Strzelaj sobie ze swojéj mościpanie oddaj się Panu Bogu — rzekł smutny pan Dominik a tę schowaj. Ja z niéj strzelać już nie mogę.

— Dla czego? Tylko chybiony strzał odbiera panu prawo do niéj, a dzisiaj przecież nie wypadł z niéj ani jeden.

— Nic to nie znaczy mościpanie. Oddaj się Panu Bogu chybione dwa razy.

— Powtarzam panu, że nie przyjmię téj strzelby pod żadnym warunkiem, bo uchybiłbym tém samém woli ostatniéj pańskiego ojca. A pan namawiając mnie do tego, nie szanujesz jéj tożsamo.

— Jak to?

— Nieboszczyk pozwolił z niéj tylko raz na dziesięć strzałów chybić. Prawda?

— Tak jest oddaj się Panu Bogu!

— Albo co na jedno wychodzi — dwa razy na dwadzieścia strzałów.

Pan Dominik z wzrastającém zadowoleniem i radością słuchał téj interpretacji testamentu.

— Przypuśćmy tedy, ciągnąłem daléj, żeś pan w dwóch pierwszych strzałach chybił, to z tego jeszcze wcale nie wypływa, żebyś pan miał swą strzelbę tracić. Jeżeli bowiem od téj chwili wypadnie z niéj ośmnaście celnych strzałów, woli nieboszczyka stanie się pod każdym względem zadość.

Pan Dominik stał zupełnie zbity z toru. Wreszcie uniósł się tak szaloną radością, że w najokropniejszy sposób chciał w objęciach swojich zgnieść zupełnie niepołamane poprzednio ziobra moje. Pan Łukasz jak dziecko klaskał rękami z wielkiéj radości.

— Ale to nie dość — krzyczał pan Dominik mocno ucieszony. Musisz dzisiaj zażądać odemnie jakiéjś pamiątki. Dam ci wszystko chętnie, czego zapragniesz, choćby nawet oddaj się Panu Bogu cały mój majątek.

Nie lubiałem ogromnie wszelkiéj takiéj daremszczyzny pamiątkowéj.

— Strzeż się pan — rzekłem, chcesz się i z téj kolizji wywinąć — bo wybiorę strzelbę.

— Choćby nawet i to oddaj się Panu Bogu, rzekł pan Dominik! No wybierajże pan.

(Ciąg d. n.)

PRZEŻYTE.

Dom przybierałem. O! jakżem go pieścił,
Jakżem go stroił i jakże się bałem,
Czy dom ten godnie będzie w sobie mieścił
Wszystko, com znalazł i co ukochałem?

Komnatki strojne. — Wszystko śmiecie ziemi
Precz wyrzuciłem, i chodziłem wszędzie
Pytając trwożny, czy dość czysto będzie
Dla niéj, najczystszéj pomiędzy czystemi.

Ubogo było, a więc w róże białe
Jak ta u piersi co jéj zazdrościłem,
Ubrałem ściany domku niewspaniałe,
Potém zielenią w koło ustroiłem,
I w bluszcz obwitą, z obliczem pociętém,
Marję-m powiesił, by na nas patrzyła,
A potém pieniem przywołałem świętém
Aniołów w gości — by z niemi mówiła.

Tak dom przybrawszy, wiodłem ją promienny
Przez wrota białe, aż w ciche pokoje —

Drżący i szałem zachwycenia senny
Trwożny o moje — ach! o wszystko moje!...

Ona się śmiała — bluszcz się śmiał wijący,
Róże na ścianach I jéj róża biała,
I słońca promień miłością gorący,
I śniadą twarzą Maryja się śmiała.
I goście nasi, niebiescy anieli
W on dzień godowy słonecznie się śmieli.

O dniu mój święty — jakże prędko słońce
Twoje zagasło, i ty nie czekana,
Jak prędkoś oczy śćmiła mi płonące,
Nocy boleści — nocy nieprzespana!
. . . .

Zaparłem wrota, a potém na progu
Wyjąłem serce i rzuciłem — wolny
Od trwogi wszelkiéj, tylko żem się Bogu
Zapomniał oddać; więc mnie jak kwiat polny
Pozbawił rosy i żarem zasuszył,
Nie strzegł; — strażnika gość złowrogi skruszył
I nim krew jeszcze w nim gorąca zmarła —
Niewzbronną drogą śmierć do nas się wdarła.

Śmierć, tak, śmierć blada. Miała płaszcz bogaty,
Brylanty jasne i sług orszak cały;
Tak strojna weszła do mojéj komnaty —
A ze ścian róże zwiędłe obleciały,
I bluszcz poczerniał, Maryja pobladła —
I gość niebieski, wyszedł anioł biały
I słońce zgasło i noc głucha padła!

Jakżem ją chował. Na pościel śmiertelną,
Z róż powiędniętych złożyłem jéj głowę;
Z bluszczu diadem uwiłem weselny,
Czarny bluszcz spadał na usta różowe,
Na oczy jasne i liśćmi smętnemi
Schodził wciąż niżéj — aż pełzał po ziemi.
Potém dwie świéece stawiłem jarzące
I Matkę Bożą u wezgłowia trumny,
I byłem pracą moją wielce dumny;
Bo były róże, był bluszcz, było słońce —
Anieli-goście w koło nas się zwarli,
I Marja była wzniesiona nad głowy,
I było wszystko, jak w on dzień godowy —
Tak... było wszystko....
Tylko my umarli....

Władysław Ordon *).

*) Jestto jeden z ulubionych poetów Warszawy, piszący pod tém pseudonimem, zaś właściwe jego nazwisko jest **Władysław Szanser**.

Pieniądze i Oczy.

Szkic dramatyczny w 1. akcie

przez J. N.

Zenon recenzent teatralny — lat 46.
Baron — lat 50.
Karol — lat 26.
Celina — lat 19.

SCENA I.

(Mieszkanie Zenona — meble safianowe — szafy z książkami, na lewo wielkie biuro zarzucone papierami. — Zenon siedzi przy niém i pisze. Chwila milczącego pisania — z gestami jakoto: gryzieniem pióra, uderzaniem się w czoło, wznoszeniem oczu w górę itd. Potém zamyśla się — i pisząc dyktuje sobie głośno).

„Z boleścią więc... powtórzymy raz jeszcze... że „dramat, któryśmy wczoraj mieli nieprzyjemność widzieć, „jest jednym z tych potwornych utworów, jakich litera„tura nasza pełna od czasu, gdy do pióra biorą się „gołowąse młodziki"....

(podnosi głowę i mówi):

Tak... tak.... Z tymi smarkaczami inaczéj nie można... żeby to choć przyszedł, poprosił na śniadanie... ukłonił się... ale gdzie tam!.. panicz hardy!.. Łeb do góry!.. no zobaczymy, zobaczymy... (pisze daléj) „gołowąse młodziki.... Wszystko co wzniosłe... co szlachetne... wszystko cośmy się poważać nauczyli: szacunek należny wiekowi, urok, jaki świetność pochodzenia tak słusznie roztacza, wpływ, jaki bogactwo wywiera, posłuszeństwo bierne i chrześćjańską pokorę względem przewodników ducha, wszystko to autor poważył się wyśmiać i z błotem zmięszać. Natomiast do apoteozy podniósł swobodę ducha, która się nazywa wolnością. Dość powiedzieć, że bohaterem dramatu jest dawny spiskowiec, syn mieszczucha, a bohatérką aktorka.... Dramat swój autor nazwał: „koszulą Dejaniry" i słusznie, bo mybyśmy go pragnęli zedrzeć choćby ze skórą autora... byle z wrzodu takiego oczyścić literaturę naszą....

(mówi) A co paniczu? dobrze ci tak?... Ty i tobie podobni będą mieli raz przecie naukę... co to pomiatać starszymi!... Masz talent!.. tak! wielka rzecz! cóż ztąd?.. myślisz, że to dosyć!... Ja mój panie piszę krytyki od lat trzydziestu... (z zapałem) trzydziestu!.. słyszysz smyku!.. i pisać je będę do śmierci... ale niech mnie djabli porwą, jeżelim autora żyjącego pochwalił... (z uśmiechem) darmo!... No!.. a teraz trzeba to jakoś zaokrąglić, (patrząc na zégarek) bo już czas będzie do drukarni odesłać... (zamyśla się potém mówi pisząc): „I jeżeli wielki mistrz słowa Ludwik Veuillot powie„dział o Wiktorze Hugo, że autor, który mając lat „pięćdziesiąt pisze wiersze, zasługuje na rózgi, to u nas „powiedziećby można, że człowiek, który przed czter-

„dziestym skończonym rokiem porywa się na utwory „dramatyczne, powinien być kijami obity".

(mówi) A teraz o nowéj artystce. No! téj ganić niepodobna. — (pisze mówiąc) „Brak nam dziś miejsca „na ocenienie gry młodéj debiutantki panny Celiny. „Odkładając to do przyszłego odcinku, powiemy tylko, „że widzimy w niéj jedną z pierwszorzędnych artystek „naszéj sceny".

(mówi) No to zdaje się dosyć... (przegląda rękopism i liczy wiersze) Dwadzieścia... czterdzieści... sześćdziesiąt... sto dwadzieścia... dwieście... dwieście ośmdziesiąt... trzysta... (wstając) jak obszył!... Co to jednak wprawa!.. jak się zmęczę, to trzysta wierszy jak urznął....

(przypominając sobie) Ah! a dewiza!... Jakąby?.. jakąby tu?.. a! (siada znów i pisze) „Piękne jest zawsze pięknem"... podobno, że to sensu nie ma?... Ah! wielkie rzeczy, od czego dewiza!... Kogoby na niéj poderznąć?... Ponieważ głupstwo się napisało, trzeba jakiemu filozofowi na kark to zwalić....

Podpiszę np. Montesquie... to liberał, kto go u nas czytał!... (znów wstaje i składając papiery) No! a teraz do drukarni.... (kładzie rękawiczki wchodzi Baron)

SCENA II.

ZENON. — BARON.

BARON.

A może przeszkadzam?

ZENON.

(odwraca się i spotrzegłszy kłania się nizko.) Ale gdzież tam... gdzież tam!.. zawsze na usługi pana Barona!...

BARON.

Bo miałem do kochanego pana prośbę maleńką....

ZENON.

(wskazując fotel) Co tylko pan Baron rozkaże. (siadają)

BARON.

Widziałem pana wczoraj w teatrze.

ZENON.

(wzdychając) Obowiązek... obowiązek panie Baronie... człowiek musi swój ciężar dźwigać....

BARON.

No i cóż?...

ZENON.

A cóż... smutno... boleśnie patrzeć na takie dziwolągi....

BARON.

Jakto, dziwolągi?

ZENON.

(wstając) Czyż to nie zgroza widzieć, jak się lada chłystek porywa na najświętsze rzeczy!.. jak depce nogami uczucia i pojęcia stanowiące podwaliny społeczeństwa!... Ah! gdyby nie dziennik nasz... gdyby nie my, co niby spadkobiercy Sobieskich zasłaniamy naród od zalewu barbarzyńskich pojęć....

BARON.

(przerywając) Daruj panie Zenonie... ale nic a nic nie rozumiem....

ZENON.

Jakto?.. przecież pan byłeś wczoraj w teatrze... słyszałeś jakie pojęcia młody a okrzyczany autor podnosił.... okropność, jak cnotę kocham.

BARON.

Ah! to pan o sztuce mówisz?... To co innego.. być może... być może.... Przyznam ci się kochany panie, że ja na to co gadają na scenie, zważam w ogóle mało, a wcale nic, gdy na afiszu zobaczę, że to sztuka oryginalna....

ZENON.

Tak!.. a zdawało mi się, pan Baron byłeś tak zajęty!...

BARON.

Bardzo!.. niezmiernie... ale ja, widzisz pan, sztukę oceniam i sądzę oczami....

ZENON.

(śmiejąc się) Rozumiem... rozumiem... pan Baron tylko lubisz jéj plastyczną stronę....

BARON.

Właśnie... właśnie... plastyczną i zakulisową... (pokazuje gestami różne formy kobiece) pojmujesz?.. co?.. ha... ha... ha.... (śmieją się)

ZENON (n. s.)

Stary rozpustnik... (z westchnieniem) ma za co!.. (głośno) I jakże się podobała nowa gwiazda panu Baronowi?...

BARON.

Słowo honoru. Cudowna!.. prześliczna!...

ZENON.

Nieprawdaż?

BARON.

Nie idzie daléj... i właśnie à própos niéj chciałem pomówić z panem.

ZENON.

A própos niéj?... Nie rozumiem.

BARON.

Zaraz się wytłómaczę. Jak jéj grę znajdujesz?...

ZENON.

No! talent pierwszego rzędu... nie ulega kwestji....

BARON.

(niechętnie) Tak!.. to źle!...

ZENON.

Dla czego źle?

BARON.

I napisałeś pan w dzienniku, że ona ma talent?

ZENON.

Napisałem właśnie....

BARON.

(porywając się) A! nieszczęście!.. i wydrukowałeś?

ZENON.

Nie jeszcze... właśnie chciałem iść do drukarni.

BARON.

No, chwała Bogu!...

ZENON.

Jak cnotę kocham, nic a nic nie rozumiem.

BARON.

(przysuwając się do niego) Bo widzisz kochany panie Zenonie... ja bardzo twoje pióro cenię....

ZENON.

(kłaniając się) Bardzo wdzięczny jestem panu Baronowi....

BARON.

I zawsze czytam twoje sprawozdania... a ja nie wiele czytuję!.. słowo honoru....

ZENON.

Zbytek łaski, panie Baronie!...

BARON.

I zawsze powtarzam w klubie naszym.... Ten pan Zenon, to filar dziennika!.. to obrońca nasz... staréj arystokracji....

ZENON.

Rzeczywiście za zadanie życia położyłem sobie bronić ustalonego porządku....

BARON.

Właśnie... my to wiemy!.. a prócz tego mówię zawsze w naszym klubie... co to za znawca sztuk... jaki to krytyk!.. to Jules Janin polski...

ZENON.

Tylko, że mam więcéj zasad od paryzkiego kronikarza... jak cnotę kocham.

BARON.

No! to się rozumie!... Otóż!.. moje zdanie podziela całe nasze towarzystwo... co ty, panie Zenonie napiszesz o książce lub teatrze — to dla nas wyrocznią!... (C. d. n.)

TEATR. — *„Dwaj Radziwiłłowie“* — komedja w 5ciu aktach przez A d a m a B e ł c i k o w s k i e g o.

Kto chce dzisiaj napisać komedję, dramat lub tragedję, nie małego podejmuje się zadania. Publiczność nasza mając smak wykształcony na znakomitych utworach literatury zagranicznéj, wiele wymaga od autora i gry artystów. Pan Sardou, bożyszcz sceny paryzkiéj zdaje się opanował umysły wszystkich — a dyrektorowie teatrów wziąwszy go sobie w antrepryzę, po za nim nic znaleść nie mogą — nie chcą lub nie umieją. Ze smutkiem i pewną obawą patrzymy się na to. Ile razy więc spotkamy się na scenie naszéj z własną komedją lub innym utworem scenicznym, z prawdziwą przyjemnością mówimy o tak rzadko trafiającém się u nas zjawisku. Był czas, że nawet publiczność sama czuła tę niesprawiedliwość i niełaskę, w jaką popadł Al. Fredro, a za nim i inni pisarze — dla tego Dyrekcja teatru tutejszego zdaje się, mając to na względzie, dała nam kilka przedstawień z własnych i oryginalnych utworów. A zdaje się, że ani publiczność — ani kasa teatru nie straciła nic na tém. „Dwaj Radziwiłłowie“, „Śluby panieńskie“, „Polowanie na Męża“, oraz gra pp. Modrzejewskiéj i Hofmanowéj zwabiła do teatru cały świat tutejszy. Szczupłość miejsca nie pozwala nam mówić o każdém z tych przedstawień po szczególe. Słówko więc tylko o „Dwóch Radziwiłłach p. Adama Bełcikowskiego.

Książę Janusz Radziwił podkom. litew. (p. Benda) kocha się w Katarzynie córce wojewodziny Sandomierskiéj — i prosi stryja swego Albrechta Radziwiła kanclerza wiel. lit., (Rapacki) aby affekt ten serdeczny, razem ze swoją protekcją, raczył przedstawić pani Wojewodzinie Sandomierskiéj (p. Aszpergerowa). — Po chwili, kiedy ks. Janusz opuścił ks. Albrechta, wchodzi pani Wojewodzina, a książę Albrecht prowadząc z nią rozmowę, przypatruje się tańczącym parom, które przez otwarte drzwi widać. Oboje unoszą się nad gracją i wdziękami jednéj pary, tj. ks. Janusza i p. Katarzyny. Tutaj przychodzi myśl do głowy ks. Albrechtowi, że zamiast synowca swatać, daleko lepiéj zrobi, gdy sam poprosi Wojewodziny o rękę jéj córki Katarzyny, co też nie namyślając się długo czyni.

Ks. Janusz dowiedziawszy się o zdradzie stryja, oddaje całą tę sprawę królowéj, żonie Władysława IV., (p. Hoffmann) która nie lubi ks. Albrechta i całych starań dołożyć przyrzeka, aby zerwać ten uprojektowany przez starego kanclerza związek. — Rzecz jak pokazuje się dosyć trudna, bo ks. kanclerz wziął słowo od matki panny Katarzyny i przy tém stoi twardo. Lecz na szczęście, królowéj wpada list w rękę — który przed miesiącem ks. Albrecht pisał do pani Kasztelanowéj Sieradzkiéj, dając jéj uroczyste słowo, że zawrze z nią śluby małżeńskie — a ponieważ pani Kasztelanowa Sieradka nie odpowiedziała jeszcze na ten list księciu kanclerzowi — królowa, która przyrzekła księciu Albrechtowi być na jego zaręczynach, prosi go o pięć dni czasu i odbiera od księcia słowo uroczyste, że wszystkiego, do czego zobowiązał się słowem Radziwiła, dotrzyma święcie.

Te pięć dni zwłoki wystarczają królowéj do sprowadzenia p. Kasztelanowéj Sieradzkiéj, która oddaje ów fatalny list królowéj — a królowa przypomina księciu s ł o w o R a d z i w i ł ł a i zmusza go tym sposobem do połączenia się z Kasztelanową Sieradzką — a tém samém uwalnia młodą kochającą się parę, ks. Janusza i Katarzynę od głównego nieprzyjaciela. — Tedy komedja kończy się trzema błogosławieństwami, gdyż oprócz tego siostra Katarzyny Anna (p. Śliwińska) idzie za Dominika Kozaneckiego, (p. Ładnowski syn) bez czego zdaje nam się obejśéby się mogło. — Oto treść główna komedji.

Dosyć to szczęśliwie obmyślono, chociaż mniej szczęśliwie przeprowadzono — gdyż sztuka zdaje nam się za rozwlekła. Co do charakterów, jak ks. Albrechta, ks. Janusza, Katarzyny, Anny i Gniewosza — te są bardzo dobrze oddane. — Żałować nam tylko przychodzi, że rola Anny dostała się p. Śliwińskiéj — a nie p. Tomaszewiczowéj, boć to wielkie pytanie, czy nawet sama panna Ś. przekonaną jest o swoim talencie? — Pan Rapacki rolę księcia Albrechta oddał z całém zadowoleniem publiczności, a zdaje się i według życzeń Autora — nie znać było wprawdzie wcale owéj dumy, która według pamiętników Albrechta Radziwiłła, była także jednym z licznych przymiotów ks. Kanclerza — ale to już może wina w tém sztuki — a nie gry saméj.

P. Modrzejewska (Katarzyna) — miała nader trudną rolę dziewczyny, która kocha, a nie chce przyznać się do tego i znajdują pewną przyjemność w tyranizowaniu mężczyzn. — Jakkolwiek więc rola nie przypada do łagodnego usposobienia artystki — pani Modrzejewska wyszła z niéj zwycięzko.

α. δ. **Kronika.** — **Brak żabek i jaszczurek. — Znalezienie żabki u Redolfiego. — Sąd o kobietach. — Emigracja. — Anons. Poznań, kraina starych panien. — Koncerta w Resursie mieszczańskiéj. — Loteryjka fantowa. — Kraj. — Turcy i Greczynki.**

Nie mając na swoje usługi antropofagów — ani bucefałów, zatém mniéj będąc szczęśliwy, aniżeli jeden z moich kolegów kronikarzy. — Piechotare — jak na to przystało brukowcowi krakowskiemu — puściłem się w światek ten piękny nadwiślański za nowinkami, na dwutygodniową strawę dla was piękne czytelniczki „Kaliny“. — Musiałem mieć minę złośliwego bociana, bo wszystkie jaszczurki i żabki pokryły się gdzieś w błoto — a ja po paru godzinnéj gonitwie za małemi skandalikami wróciłem do domu nie trzymając nic w dziubku, coby służyć wam mogło gwoli rozweselenia a zabawie. — Z desperacji, jak to zwykle bywa, zaszedłem na kieliszek różowéj do szacownego Mauricio et Redolfi — który posiada ten elixir w rozmaitych a najrozmaitszych gatunkach. — Zgrzeszywszy tak przeciwko uczciwéj konduicie bocianiéj, usiadłem cicho w kąciku, aby przysłuchać się interesującéj a wielce przyjemnéj dyskussji — dwóch młodziutkich paniczów — którzy nadaremno jak widać chcieli znaleść definicją „kobiety“. — Jeden z paniczów, blondynek o melancholicznem wejrzeniu — w ubóstwianiu was Szanowne Panie dawał wam skrzydełka aniołków lub motyli — robił was różyczkami lub innym gatunkiem kwiecia. — A drugi — zapewne jakiś czarny charakter — śmiał głośno wyrzec tak, że wszystkie słodkie i niesłodkie rzeczy, aż mróz przeszedł po konfiturach — że cały ród kobiecy to tylko... doprawdy nie wiem, czy powtórzyć — s z a t a n y! — Otóż myślę sobie jest i żabka do kroniki — oddam ją na zemstę czytelniczkom moim niech stanie się winną sądu. — Jestto okropna rzecz ani słowa, jeżeliby tak było — śnić u nóg waszych piękne panie, o raju — i obudzić się w drugiéj ojczyźnie Dante'a. Lecz daleko okropniéj, na schyłku dziewiętnastego wieku, gdzie wiara w zabobony i szatanów zdawało się nam upadła; słyszeć podobne zdanie werbujące cały ród brzydki do piekła. Bo jestem pewien, że gdyby pan ów złośliwego wejrzenia, poparł gruntowniejszemi argumentami definicją kobiety — całemi legjonami ród mężczyzn wyemigrowałby za Styx. Tutaj zachodzi pytanie, czy emigracji byłoby tam lepiéj, niż w Galicji — ktoby na tle tém chciał pisać komedją — znajdzie adres owego panicza w notesce u kronikarza „Kaliny“. — Nie myślcie piękne panie, aby tam nic interesującego nie było. Zbieram do niéj wszystko co tylko może służyć na pożytek dla łaskawych czytelniczek moich. — Nie zbyt dawno wpadł mi do ręki Dziennik poznański, z którego wynotowałem ot następujący anons.

Do W....

Padłem ofiarą twéj szatańskiéj złości —
W samym zarodzie życie me zatrułaś,
Igrałaś sercem jak dzieci laleczką,
Przekleństwo na cię za ten czyn tak czarny.

M....

Wyobrażam sobie, co to za nieszczęśliwy kraj na m i ł o ś c i e ten Poznań, kędy kobiety s ą s z a t a ń s k i é j z ł o ś c i. Rzeczywiście jeździć tam nie warto, chociaż talary zawsze dobrze się płacą — a posagi liczą się brzęczącą monetą. — Znałem mnóstwo starych a posażnych panien w tym kraiku. — Nieraz pytałem siebie, dla czego te kwiateczki trochę z listków opadłe, skazały się na wieczną samotność — i dowiedziałem się, że każdy taki kwiatek czy to róża czy nie róża, ma tak kolące ciernie, iż nie podobna go zerwać bez łosiowéj rękawiczki. — Sam nawet kiedyś w mojéj młodości próbowałem przyswoić sobie jednę taką roślinkę do cieplarni mojego serca — lecz... pokłóty niemiłosiernie przestałem wierzyć w niepodobne aklimatyzacje.

A teraz z kolei rzeczy wypada nam coś pomówić o koncertach w Resursie mieszczańskiéj — urządzanych przez Sekcją muzyczną towarzystwa artyst. liter. Doprawdy, że sprawozdanie podobne nie jednego kronikarza w niemały ambaras wprowadzićby mogło... bo zdrowa logika a przedewszystkiém c h a r m a n t e r i e bocianie, każe nam z góry chwalić wszystkie tenory, basy, soprany i alty — a to dla tego, że ani żaden cel dobroczynny, ani chęć zysku jakiegokolwiek, nie przewodniczyła artystom. Najprzód więc w kronice należy się pomnik dozgonnéj wdzięczności wszystkim rękom, które grały na fortepianie, fisharmonijce lub skrzypcach a wiolonczeli — a większa jeszcze wdzięczność basom tenorom — a największa, pieszczonym głosikom płci pięknéj, która przedewszystkiém jest przedmiotem naszych not urzędowych do Kaliny. Wchodząc w szczegóły tych koncertów, nadmienimy tylko o prześlicznym śpiewie pani Majeranowskiéj — która potrafiła nawet takich, co to przyrośli do preferansikowego stolika w Resursie, śpiewem swoim zentuzjazmować. — Sekstet Halki był cokolwiek zakwestjonowany — byli bowiem tacy, którzy słowo honoru dawali, że go nic a nic nie rozumieli — ale to tylko złośliwość. — Na końcu grzeczny gospodarz Resursy urządził loteryjkę — a po krakowsku T o m b o l e (akcent nad o), każda więc z pań próbowała szczęśliwego terna, quaterna lub quinterna — gdyż a m b a nic nie wygrywały. Dobór fantów był bardzo właściwy i gustowny. Fortuna prawie wszystkie z nich oddała w ręce piękniejszéj połowy publiczności.

W końcu wypada nam jeszcze słów parę pomówić o dawno oczekiwanym gościu, który zjawił się w murach Krakusa. Nazywa się „K r a j“. — Jest to bardzo przyjemny gaduła, dla tych, co lubieją nad węzłami gordyjskiemi polityki europejskiéj — przy czarnéj kawie parę godzin trawić. — Przez krótki czas swéj u nas bytności był tu i owdzie z pierwszemi wizytami — i mówią — dosyć ma interesującą fizjonomję. — Podobno myśli się na długie wieki osiedlić u nas stale — i nie umrzeć, chyba z nudów, jeżeli

na wiosnę Turc y nie wypuszczą ze swych serajów wszystkich greczynek — które podobno są bardzo piękne — dla tego, że nigdy nie podnoszą zasłony ze swych twarzyczek. — Ale ponieważ Turcja to niby coś co trąci polityką — milczeć więc będziemy o wszystkiém, co się tam dzieje — niestety!

H. — **Koncert Gustawa Frieman.** — Dnia 10tego i 12. marca odbyły się koncerta Gustawa Frieman, słynnego skrzypka i ucznia konserwatorjum paryzkiego. Imię artysty znane i cenione również za granicą, jako też u nas, nie wymaga ścisłego gry rozbioru. Dosyć nadmienić, że nieomylna prawie czystość w najwyższéj aplikaturze — pociągnięcie smyczka lekkie i gładkie, następnie ton szeroki i pełny, którego towarzyszenie całéj orkiestry pokryć na chwilę nie zdoła, są udziałem pierwszorzędnych tylko talentów, którym mozolna praca nadaje stopień prawdziwego artysty. Takim artystą jest p. Frieman. Gra jego w wysokim stopniu pojętna i ciepła, działa promieniejąco na najmniéj nawet wykształconych w tym względzie słuchaczy, i pobudza do wtórowania artyście w jego własnych uczuciach. Szkoda tylko, że zepsuta publiczność krakowska — gratysowemi koncertami, tak skromny wzięła udział w koncercie pierwszym — gdyż jak nam mówiono, dodatnią stroną koncertu był d e f i c y t. — Na drugim koncercie p. Modrzejewska oddeklamowała przecudnie wiersz Lenartowicza „Wiochna“. Tak znakomita nasza artystka, jako i pan Frieman zostali obrzuceni przez zachwyconą publiczność kwiatami.

*** **Emigrant w Galicji** komedja w trzech aktach przez pp. A. K. i W. S.

Dziennik poznański w odcinku swoim pod tym tytułem wydrukował komedją pisaną do s p ó ł k i. — Sam tytuł wskazuje nam jéj tendencją. — Autorowie snać dobrze znają stosunki galicyjskie i sympatję tego kraju dla emigracji, kiedy v o x p o p u l i tak niesie — że niby w lusterku przejrzećby się tam można.

Emigrant Leon pod obcém nazwiskiem przyjeżdża do galicyjskiego szlachcica, niejakiego Michała Olsztyńskiego, uczyć się gospodarki. Jakoś od razu chłopak przypadł szlachcicowi do gustu — a córce jego Wandzie do serca. Szlachcic nic a nic nie wiedząc, że w domu swoim ma rewolucjonistę demagoga — co niby ma znaczyć e m i g r a n t a. — Patrzy dosyć łaskawie na stosunek Leona z Wandą, chociaż wolałby mieć za zięcia barona galicyjskiego Skólskiego. — Wtém, baron chcąc pozbyć się emigranta, straszy najprzód szlachcica, że ludzie złéj woli r o b i ą k o n s p i r a c j ę w kraju, namawia go, aby napisał grzeczny list, w y p r a s z a j ą c y Leona z pod gościnnego polskiego dachu — a gdy i to nie pomaga denucjuje Leona.

Dowiedziawszy się o owéj denucjacji p. Olsztyński, który w gruncie serca jest dobrym człowiekiem, tylko obałamuconym trochę przez postępowe wyobrażenia r a c j o n a l n e g o r a d y k a l i z m u dzisiejszego — oburza się na ten skandal i wypędza skonfondowanego barona, a Wandę daje Leonowi. — Szczupłość ram naszego pisma nie pozwala — rozebrać pojedynczo charakteru każdéj osoby. — Tyle tylko powiemy, że niektóre sceny są wyborne. Że Olsztyński jestto rola dla pana Rapackiego — Leona dla p. Bendy — a barona dla p. Nowakowskiego — zaś rola Wandy jest jakby umyślnie pisaną dla p. Modrzejewskiéj. — Publiczność krakowska z niecierpliwością oczekuje, rychło afisze doniosą jéj o ukazaniu się „E m i g r a n t a w G a l i c j i“ na scenie naszego teatru, a nam się zdaje, że mając pod ręką komedję i aktorów — Dyrekcja Teatru nie wiele spotka trudności — aby uzyskać Emigranta dla sceny tutejszéj.

*** **Z doli niedoli** — poezje W ł a d. B e ł z y. — Pod tym napisem wyszedł nowy zbiorek pieśni młodego naszego skowronka, który w świecie ducha i myśli — wróży nam promyki wiosennego słońca. — Prostota i niezepsuty smak duszy — wieją z tych piosnek. — P. Bełza, jakośmy to już powiedzieli, jest przeważnie lirykiem — a jeżeli na téj drodze utrzyma się, śmiało wróżyć mu możemy znakomite miejsce w przyszłości, obok W. Pola i Lenartowicza.

*** Z początkiem tego miesiąca zaczęło wychodzić w Krakowie pisemko dwutygodniowe pod redakcją p. Witowskiego, a którego tytuł jest „**Mrówka**“ z pod Wawelu. — Dwutygodniczek ten poświęcony dla ludu wiejskiego i rzemieślników — traktuje przeważnie dział z nauk przyrodniczych.

Ktoby miał do zbycia rocznik „Kaliny“ z r. 1867 zechce łaskawie adres swój nadesłać do bióra Redakcji.

*** Szpilka złota znaleziona na balu techników, za udowodnieniem własności, może być odebraną w redakcji „Kaliny“.

Do Nru dzisiejszego dołącza się prospekt pisma humorystycznego „Szalawiły“.

W artykule: „Historja sztuki dramatycznéj“ zaszły w dwóch pierwszych numerach pomyłki drukarskie:

Nr. 4.

str. 1. szpalta 2. wiersz 11. z góry zamiast dola czytaj d o b a.
str. 1. szpalta 2. wiersz 6 z dołu zamiast zowię czytaj z o w i ą.
str. 2. szpalta 2. wiersz 1. „ zamiast grosikach „ g r ó d k a c h.

Nr. 5.

str. 1. szp. 2. w. 2. z góry zam. bohaterski czytaj b o h a t y r s k i.
„ „ z dołu zam. bohaterów „ b o h a t y r ó w.
„ 2. szp. 1. w. 23. z dołu zam. hebrajska poemata czytaj h e b r a j s k a m a p o e m a t a.
„ „ 12. „ „ egrotyczna „ e g z o t y c z n a.
„ 3. szp. 1. w. 23. „ „ Sukyonie „ S y k i o n i e
„ „ 10. „ „ chtomiczne „ c h t o n i c z n e.
„ 2. 15. z góry „ z akcyą „ w a k c j ą
„ „ 20. „ „ spowiły „ s p o w i t y
„ „ 13. z dołu „ Tespisomy „ T e s p i s o w y
„ „ 5. „ „ Jespis „ T e s p i s.
„ 4. szp. 1. w. 7. „ „ twórcą. „ t w ó r c ą ?
„ „ 2. „ „ odzielono „ o d d z i e l o n o.
„ 2. w. 6. z góry „ pozwali „ p o z n a l i
„ „ w. 21. „ „ tytannów „ t y r a n ó w
„ „ w. 26. „ „ pozbawić „ p o b a w i ć.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. S z e w s k a (pod Barankiem) l. 221, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“ księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1869.